

LEAH BRUNNER

DESIRE
OR
Defense

Przełożyła: MONIKA WIŚNIEWSKA



Tytuł oryginału: *Desire or Defense*

Copyright © Copyright © 2023 by Leah Brunner
Cover design and illustration by Melody Jeffries

Copyright © for the translation by Monika Wiśniewska

Redakcja: Magdalena Wołoszyn-Cępa
Korekta: Marta Stochmialek
Skład i łamanie: Robert Majcher

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-370-9

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)
twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: Grafarti

Wydrukowano na papierze Creamy 80, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

OSTRZEŻENIA

W tej fikcyjnej historii pojawiają się delikatnie nieobyczajny język i nawiązania do alkoholu. Powieść ta porusza takie tematy jak porzucenie, nadużywanie alkoholu i substancji odurzających przez rodzica oraz żałoba po stracie bliskich osób.

*Z dedykacją dla Toma Wilsona.
Na początku liczył się wygląd.
Zostałam ze względu na hokej.*

ROZDZIAŁ 1

MITCH

Gdy sunę po lodzie podczas przedmeczowej rozgrzewki, pieką mnie mięśnie, ale w najlepszy możliwy sposób. Lepiej, by piekły mięśnie, ciało i skóra niż ten dokuczliwy narząd w klatce piersiowej. Po pięciodniowej przerwie w grze bardzo potrzebowałem tego meczu.

Nie chcę myśleć o tym, że nie mam rodziny, z którą mogłem spędzić tak zwane ferie. Ani o tym, że reszta chłopaków z drużyny nie ma takiego problemu. Że cieszą się świętami razem z bliskimi.

Ja nie. Ale mnie nie jest to potrzebne, ja potrzebuję tego. Wyzwania dla umysłu i ciała. Używania mięśni do tego, co oparowały do perfekcji. Do wszystkiego, na co pracowałem. Jedynej dobrej rzeczy w moim życiu, która nie zniknęła.

Od osiemnastu lat czuję strach przed różnego rodzaju wolnymi dniami. Najpierw przed szkolnymi feriami, potem letnimi wakacjami, a teraz... przed świąteczną przerwą w rozgrywkach NHL. Te wszystkie dni wolne oznaczają tylko jedno: zbyt dużo czasu na myślenie.

Zerkając ponad szybą z pleksi, widzę, jak po drugiej stronie moi koledzy z drużyny przymilają się do potomstwa i żon. Wszystkie dzieciaki są ubrane w miniaturowe bluzy z numerami swoich ojców. Przewracam z irytacją oczami. Jakie to cholernie banalne.

Chłopaki machają i posyłają całusy swoim partnerkom, co wygląda idiotycznie, kiedy mają założone rękawice. Dziewczynom to nie przeszkadza i odmachują, jakby ci potężni, spoceni hokeiści byli ósmym cudem świata.

Właśnie to jest najgorsze w meczach u siebie. I dlatego też wolę mecze wyjazdowe.

Podnoszę jeden z krążków i rucam go w stronę bramkarza. Chłopak jest rozkojarzony i z szerokim uśmiechem przygląda się rodzinom. Krążek trafia go w kask, a on natychmiast odwraca do mnie głowę. Zwęża oczy w szparki, ale w kącikach jego ust błąka się uśmiech. Bruce jest jedynym członkiem drużyny, który nie czuje się urażony tym, co reszta nazywa moją „gburowatą miną”.

Bruce ma włosy w kolorze popielaty blond i psotne zielone oczy – wszystko w nim jest radosne i promienne. Jest jak krzepki bożonarodzeniowy elf. Sprawia wrażenie lepiej przystosowanego do pracy w fabryce Świętego Mikołaja niż jako bramkarz, ale prawdę mówiąc, świetnie spisuje się w swojej roli. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to jest najlepszy w całej lidze, no ale oczywiście jestem stronniczy.

– Nie bądźź zrzęda! – woła po drugiej stronie lodowiska Bruce, po czym odbija krążek w moim kierunku.

Przewracam oczami.

– Jestem po prostu gotowy, aby zacząć już mecz – kłamię.

To znaczy rzeczywiście jestem gotowy, ale myślałem przecież o tym, jak irytująco zachowują się moi koledzy. Jakby nie spędzili dopiero co całych pięciu dni z rodzinami.

Wbijam kolejny krążek do bramki i z boku za szybą dostrzegam dziewczynkę. Nie ma raczej nawet dziesięciu lat i obserwuje nas z malującym się na twarzy zachwytem. Na głowie ma czapkę D.C. Eagles, ale na ramiona opadają jej brązowe warkocze. Reszta jej ciuchów wygląda na równie znoszoną, jak czapka. Nie otaczają jej pełni uwielbienia rodzice ani rodzeństwo, nie ma na sobie najnowszych ciuchów Eagles i nie zjawiała się z jednym z tych ogromnych, ostentacyjnych transparentów, na których widnieją napisy w stylu „#1 jesteś moim bohaterem!” albo „#00 zrobisz sobie ze mną selfie?”.

Kiedy jadę w jej stronę, nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy. Jej oczy rozszerzają się ze zdziwienia. Nie mam pewności, czy powodem jest to, że ktoś ją zauważył, czy też fakt, że zrobiłem to ja... a ja nie słynę przecież z nawiązywania interakcji z fanami. Ale, co jest dziwaczne, w tej dziewczynce widzę samego siebie. Moją żalostną postać z dzieciństwa. I właśnie dlatego unoszę kij tak wysoko, że prześlizguje się ponad krawędzią oddzielającego nas przepierzenia z pleksiglasu i wpada do jej trzęsących się rąk. Dziewczynce opada szczęka.

Z ruchu jej warg odczytuję nerwowe „dziękuję”. Kiwając w odpowiedzi głową, słyszę dudniący głos trenera, a kiedy podnoszę wzrok, widzę, że sygnalizuje nam, abyśmy wrócili do szatni, gdyż rozgrzewka dobiegła wreszcie końca.

Gdy wjeżdżam do tunelu, słyszę za sobą głos Bruce'a:

– Widziałem to. Lepiej uważaj, Mitch, bo fani mogą się zorientować, że masz serce.

Wiem, że żartuje, ale ma rację. Jeśli nie chcę, aby mnie prześladowali, muszę być ostrożniejszy.

W szatni zajmujemy swoje wyznaczone miejsca i czekamy, aż Remy, czyli Remington Ford, kapitan naszej drużyny, uraczy nas przedmeczową mową dopingującą. Stoi obok trenera i czeka, aż się uspokoiemy.

Dołącza do nich Weston Kershaw. Na jego klatce piersiowej widnieje litera A oznaczająca asystenta kapitana. Należy do drużyny od nieco ponad roku i wysoko się już wspiął. Niechętnie przyznaję, że dobry z niego zawodnik... Trudno polemizować z faktem, że w tym sezonie zdobył największą liczbę bramek w NHL – okej, w zeszłym także – ale ten koleś mnie irytuje. Nie jestem pewny, czy to dlatego, że tak łatwo zjednuje ludzi i urabia ich za pomocą swojego „czaru”, czy też chodzi o to, że po roku jest lepiej zaaklimatyzowany w Waszyngtonie niż ja po pięciu. A może dlatego, że on i jego narzeczona przypuszczalnie w ciągu kilku kolejnych lat dołączą do klubu „tatusiowych bluz”. Jest po prostu jedną z tych osób, które wszyscy od razu darzą sympatią, ma kochającą rodzinę i wszystko przychodzi mu łatwo. Jest jak ulubiony serial, który się włącza po długim dniu, serial, który wszyscy uwielbiają i z którego rzucają ciągle cytaty. West to *Przyjaciele* naszej drużyny. I nie cierpię go za to.

Siedzący po mojej prawej Colby Knight daje mi kuksańca w żebra. Podnoszę głowę i widzę, że Remy i West patrzą się na mnie.

– Hej, Mitch! Słyszysz mnie? – W całej szatni słychać dudniący głos Remy’ego.

Przesuwam dłonią po spoconych włosach.

– Przepraszam, myślałem o tych nowych strategiach gry.

Bruce, którego szafka mieści się na lewo od mojej, posyła mi spojrzenie, które mówi, że doskonale wie, że gadam bzdury.

Remy uśmiecha się drwiąco i krzyżuje ręce na piersiach, West zaś przygląda mi się zdezorientowany. Choć w sumie to bardziej się pewnie upaja tym, że nie słuchałem i zostałem przywołany do porządku.

– Mówiłem, żebyśmy wszyscy trzymali się z dala od ławki kar i nie zapewniali drużynie Renegades przewagi.

Ledwie zauważalnie kiwam głową i przesuwam językiem po krawędzi zębów, starając się nie irytować jego słowami. Ale wiem, że na nie zasługuję. W zeszłym sezonie miałem pięć kar meczowych i musiałem zapłacić NHL tysiące dolarów za uderzenie kijem innego zawodnika. To nie moja wina, że później zainicjował bójkę, która skończyła się dla niego zerwaniem więzadła krzyżowego przedniego.

Trener Young kontynuuje mowę i uwaga wszystkich skupia się na nim. Mówi coś o tym, abyśmy podczas pierwszego meczu skopali tyłki przeciwnikom, ale ja patrzę na Remy'ego, którego laserowe spojrzenie pozostaje wbite we mnie. Wygląda na to, że nie tylko ja zauważyłem, że po przerwie mogę być wyjątkowo narażony na kary, zwłaszcza podczas meczu przeciwko drużynie Carolina Renegades, naszemu największemu rywalowi w Dywizji Metropolitalnej.

Trzydzieści minut później zajmujemy pozycje na lodzie, gotowi na rozpoczęcie meczu. Zerkam na trybuny, ale dziewczynki, którą tam widziałem, już nie ma. Stoi za to grupa kobiet z transparentami, na których pytają Westona Kershawa i Colby'ego Knighta o to, czy się z nimi ożenią, i klnąc cicho, odwracam wzrok. Nie ma ani jednego transparentu z moim nazwiskiem, co w ogóle

mi nie przeszkadza. Lubię pozostawać niezauważonym. Ale stanowi to także przypomnienie, że jestem drużynowym awanturnikiem... tym niekochanym.

Praktycznie czuję, jak emanuje ze mnie nagromadzona energia i agresja, a wraz z nią ulatuje samokontrola. A to akurat nie może mi dzisiaj przeszkodzić w grze.

W końcu sędzia rzuca krążek, a ja sunę w jego stronę, pamiętając nasze zagrywki z treningu. Obok mnie kręci się numer trzydziesty siódmy z Renegades i kątem oka dostrzegam jego białą bluzę. Spodziewałem się tego. Obelgi, jakimi mnie obrzuca, nie tylko przekraczają granice standardowego obrażania, ale w dodatku koleś, którego w zeszłym sezonie przewróciłem, to jego najlepszy przyjaciel. Ups.

Staram się unikać bezpośredniego kontaktu wzrokowego z Ilyą Adrikiem, bo jeszcze mógłbym zamienić się w kamień.

– Anderson! – Z powodu ochraniacza na zęby lekko sepleni.

Ignoruję go, ale on przekrzykując hałas, woła:

– Jak ci minęły święta, stary?

Przygryzam wnętrze policzków tak mocno, że niemal krwawię.

– Miło i... spokojnie? Tak jak lubisz?

Przechyliam głowę w prawo i lewo, przez co strzela mi w szyi.

– A może odwiedziłeś tatę? – pyta i śmieje się drwiąco.

Moje resztki samokontroli w jednej sekundzie się rozsypują, to samo za chwilę stanie się z jego twarzą.

ROZDZIAŁ 2

ANDIE

– Noah! Jazda na dół! Spóźnimy się! Znowu. – To ostatnie słowo mruczę pod nosem, kiedy z rękami na biodrach czekam u dołu schodów.

Moje spojrzenie prześlizguje się po leżących na schodach rzeczach: stertach niezbyt starannie poskładanego prania, książkach, towarach zamawianych przez program oszczędnościowy Amazona – który, tak na marginesie, jest niesamowicie przydatny i tylko dzięki niemu nie skończyła nam się pasta do zębów – czyli tym wszystkim, co ja i Noah położyliśmy tutaj. Szczerze zamierzaliśmy odłożyć je później na miejsce. Czego ostatecznie nie zrobiliśmy, a teraz te wszystkie rzeczy stanowią kolejne przypomnienie tego, jak chaotyczne jest moje życie.

Raz jeszcze zerkam na zegarek i wzdycham.

U szczytu schodów pojawia się Noah, nieprzejęty moim zniecierpliwieniem. Ciemne włosy ma potargane po nocy, a jego zaspane oczy mówią mi, że dopiero co się obudził. Mimo że wczoraj wieczorem ustawiłam mu budzik na piątą czterdzieści pięć.

Nie mam do niego pretensji, nikt o zdrowych zmysłach nie lubi wstawać o tak wczesnej porze. Ale niestety z tym wiąże się bycie pielęgniarką.

Noah schodzi na dół. Dziś rano wygląda na wyjątkowo marnego, więc zamiast raczyć go wykładem, wyjmuję z kieszeni batonik musli i wręczam mu go jako gałązkę oliwną.

Bierze go, ledwie zaszczycając mnie spojrzeniem ciemnobrazowych oczu. Oczu, które uwielbiam, ale przez które zbiera mi się także na płacz. Dlatego że mama miała takie same. Serce boleśnie mi się ściska. Tak bardzo za nią tęsknię.

Odsuwając od siebie te myśli, schylam się po leżący u moich stóp plecak, Noah zaś się odwraca, żebym mogła mu pomóc go założyć. Bez słowa bierze czapkę z daszkiem D.C. Eagles i wychodzi z domu.

– Trening hokeja – szepczę do siebie.

Czapka Eagles przypomina mi, że po drodze z pracy muszę odebrać Noaha z lodowiska.

Minęło prawie dziewięć miesięcy od czasu, kiedy zostałam opiekunką prawną mojego młodszego brata, a nadal nie potrafię spamiętać jego grafiku.

Dziewięć miesięcy, a on nadal prawie się nie odzywa. (Przynajmniej do mnie).

Może za dziewięć kolejnych miesięcy jakoś wszystko ogarniemy. Ale mocno w to wątpię.

Odwożę go swoim małym samochodem do szkoły, co jest dla mnie taką samą nowością, jak opiekowanie się dzieckiem i mieszkanie w Waszyngtonie – i dosłownie cała reszta, która spadła na mnie dziewięć miesięcy temu, kiedy nasi rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

Nie zmuszam Noaha do mówienia, nie naciskam na niego. W tej małej dziecięcej głowie wystarczająco dużo się dzieje. Te-
go, z czym nie powinno musieć się mierzyć żadne dziecko. Od
jego nauczycielki wiem, że w szkole nadal jest milczący – i na-
dal wdaje się w bójki z innymi uczniami z klasy. Ale jego tera-
peutka zapewnia mnie, że widzi u niego postępy... więc rozu-
miem, że na razie nie mogę oczekiwać niczego więcej.

Wjeżdżam na pas dla osób odwożących dzieci do szkoły i jak
na tak wczesną porę jadę nim dojmująco powoli. Zazwyczaj zja-
wiam się jako pierwsza.

Zaciskając z irytacją dłonie na kierownicy, obserwuję, jak
matka przede mną wysiada z samochodu.

– Nie! – jęczę, mimo że mnie nie słyszy. – Nigdy, powtarzam:
nigdy nie wysiada się z samochodu na tym pasie!

Patrzę, jak odpina swoje dziecko w foteliku i pomaga mu wy-
siąść. Przytula je i całuje. To słodkie, zgoda. Ale to dziecko jest
w wieku przedszkolnym, a przedszkolaków nie wyrzuca się na
tym pasie.

– Pchnij dzieciaka, zawołaj „do zobaczenia!”, a potem gaz do
dechy! – krzyczę, wyrzucając w górę ręce.

Zazwyczaj nie zachowuję się tak zrzędliwie, ale jestem już spóź-
niona i nie mam nawet czasu, aby zatrzymać się i kupić kawę.

Matka po raz ostatni macha, po czym posyła mi lodowate
spojrzenie. Och, może jednak mnie usłyszała.

– Cholera – mamroczę.

Obserwujący mnie Noah śmieje się cicho, a oczy błyszczą mu
tak samo jak tacie, kiedy się z nami droczył. Uśmiecham się do
niego, uradowana tym, że się zaśmiał. Przypuszczalnie powinno
być mi wstyd za to, że nakrzyczałam na tę słodką matkę przed

nami, ale nie czuję niczego oprócz radości. I może odrobiny nadziei, że ja i Noah w końcu znowu będziemy najlepszymi przyjaciółmi.

Odwraca wzrok, otwiera drzwi i wysiada. Zanim zdąży zamknąć drzwi, zatrzymuje się i patrzy na mnie.

– Dolar do słoiczka wulgarniczka.

Zapomniałam o tym słoiku. Kiedy się tu przeprowadziłam, aby zająć się Noahem, dotarło do mnie, jak bardzo nadużywam obscenicznego słownictwa, nie będąc przyzwyczajona do przebywania w towarzystwie dzieci. W ramach próby zadośćuczynienia powiedziałam mu, że za każdym razem, kiedy przeklnę, wrzucę do słoika jednego dolara, a jeśli się kiedyś zapełni, to zrobimy coś wyjątkowo fajnego. Na przykład wybierzemy się do kina albo... patrząc na to, jak często przeklinam, polecimy do Paryża na luksusowe wakacje. Nie jestem pewna, czy w ogóle stać mnie na ten słoiczek wulgarniczek. Po raz kolejny czuję znajome ukłucie żalu... Gdybym się nie wyprowadziła, byłibyśmy sobie bliżsi. Gdybym się nie wyprowadziła, nie czuliśmy takiego skrępowania w swoim towarzystwie.

– Szlag by to – mrużę pod nosem.

– Dwa dolary – szepcze Noah, po czym zamyka drzwi.

Odchodzi bez choćby spojrzenia w moją stronę czy uśmiechu. Ale odezwał się do mnie, a nawet zażartował.

Choć jestem biedniejsza o dwa dolary, odjeżdżam, czując się tak, jakbym je wygrała.

– Kiepsko wyglądasz – stwierdza Ronda, moja współpracownica, kiedy siadam ciężko na krześle w maleńkim pomieszczeniu socjalnym. Dochodzi trzecia i w końcu mam czas na zjedzenie

lunchu. Nie ma sensu, aby pielęgniarki na OIOM-ie miały duży pokój socjalny, skoro i tak prawie w ogóle nie mamy przerw.

Patrzę na Rondę, ubraną w taki sam ciemnoniebieski strój jak ja. W jej ciemnych oczach, które zdają się lśnić niczym gwiazdy, widać niepokój wymieszany z nutką humoru. Choć ma dwadzieścia lat więcej niż ja, jest moją najbliższą przyjaciółką tutaj, w Waszyngtonie.

Posyłam jej błady uśmiech, zbyt zmęczona na cięte riposty. Zakłada za ucho siwy lok, który wysunął się z gładkiego koczka.

– Wypiasz się?

– Jestem pielęgniarką. Nie potrzebuję snu! – rzucam drwiąco. Sznuruje usta, nie dając się zwieść mojemu sarkazmowi.

– A kiedy po raz ostatni wyszłaś z domu w celu innym niż praca?

Wbijam wzrok w bury szpitalny sufit, kalkulując w myślach, ile czasu minęło, odkąd porządnie się wyspałam albo spotkałam z przyjaciółmi.

– A co z randkami? – Głos Rondy przebija się przez moje myśli. – Kiedy po raz ostatni jakiś mężczyzna zabrał cię do łóżka, co?

– Ronda!

Wstaję z krzesła i przykładam rękę do klatki piersiowej.

Wzdycha ciężko. Wiem jednak, że się o mnie martwi. I o Noaha.

– Wiesz, że zawsze mogę popilnować Noaha. Mieszkamy na tej samej ulicy. Wystarczy, że poprosisz, Andie.

Kiwam głową, wdzięczna za jej życzliwość, ale szybko odwracam wzrok od tych ciemnych oczu, które zdają się aż wwiercać w moją duszę. Podchodzę do lodówki i wydaję kanapkę z masłem orzechowym i dżemem.

Ronda odchrząkuje, a kiedy oglądam się na nią, wskazuje brodą na stojącą obok niej na stole torbę z Jimmy John's.

Pociągam nosem udając, że płaczę. Ronda kręci głową i stara się nie roześmiać.

– Nie zaczynaj.

Za późno, bo raczę ją już własną interpretacją starej piosenki Roda Stewarta. A kiedy kończę swoje solo, zatapiam ją w uścisku.

Wyrywa się z moich objęć.

– Bierz się do jedzenia, bo na pochłonięcie tej bagietki zostało ci może z siedem i pół minuty.

– Masz rację.

Ronda zabiera mi kanapkę z masłem orzechowym i dżemem i w drodze do wyjścia wyrzuca ją do kosza. Nie licząc odgłosów pikania urządzeń medycznych i szybkich kroków za drzwiami, w pomieszczeniu panuje teraz cisza. Dociera do mnie, jak mało mam czasu dla siebie, na to, aby spokojnie pomyśleć, i że cisza, która kiedyś wydawała się czymś normalnym, teraz wydaje się przytłaczająca. Jest to dziwaczne... wręcz upiorne. W ciągu dziewięciu miesięcy przyzwyczaiałam się do dźwięków towarzyszących mieszkaniu z dużo młodszym bratem. Piłka, którą odbija od ściany, po czym ją łapie, odgłos jego kroków na górze, podczas gdy ja jestem w kuchni, szelest kartek, kiedy odrabia pracę domową.

Wiem, że mogłabym prosić o pomoc i czasami tak właśnie robię. Ale Ronda pomaga już z tak wieloma rzeczami, że w żadnym razie nie chcę jej się narzucać po to, abym mogła wyjść z domu i... właściwie to co? Wyrywać facetów? Iść na pedicure? Teraz to wszystko wydaje się takie płytkie i bezsensowne. Poza tym, kiedy nie muszę, nie lubię spuszczać Noaha z oczu. Dlatego upieram się, aby zawozić go do szkoły, mimo że on uważa to za wyjątkowo krępujące.

Serce dudni mi w klatce piersiowej i ogarnia mnie znajomy smutek. Mój umysł spowija mgła, przez co mam wrażenie, że już nigdy nie ujrzę słońca. Biorę głęboki oddech i myślę o trzech dobrych rzeczach. *Noah, moja praca, niezawodny samochód.*

Jeszcze jeden oddech i zaczynam szybko jeść lunch, odsuwając na bok wszystkie inne myśli.